

Jerzy Pietrkiewicz. Pigmalion i dumna Galatea.



Christine Brooke-Rose, fot. The Guardian.

Florian Śmieja

Na wsi francuskiej pod Avignon 21 marca 2012 roku zmarła Christine Brooke-Rose (urodzona w 1923 r.), była żona Jerzego Pietrkiewicza (1916-2007), jedna z najgłośniejszych brytyjskich postmodernistycznych powieściopisarek.

Do napisania niniejszego szkicu posłużyłem się, autobiograficzną książką „Remake” z 1996 roku, którą napisała na prośbę wydawcy, a także „Life, End of” z 2006 r. Dało jej to okazję do przeglądu zapamiętanych scen życia, choć nieco sceptycznie ostrzegła, że każda autobiografia jest po części fikcją i że po latach łatwo przypisać sobie wypowiedzi, by swój portret upiększyć. Natomiast w biografii Pietrkiewicza i informacjach o nim, są tylko bardzo zakamuflowane ślady kobiety, z którą żył przez ponad dwadzieścia lat w najowocniejszym okresie swojej twórczości.

Poznałem Christine bodaj w 1949 roku w Corku, kiedy Pietrkiewiczowie odwiedzili Irlandię, a ja kończyłem studia. Potem pojechałem do Londynu i byłem asystentem Pietrkiewicza w *School of Slavonic and East European Studies* przez cztery lata.

Aczkolwiek Christine urodziła się i wychowała w Szwajcarii, to część dzieciństwa spędziła z ojcem, Anglikiem. Wybuch wojny

także zastał ją na Wyspach Brytyjskich. Kiedy wspomina o czasie spędzonym w Liverpoolu, każe mi także myśleć o wojennych chwilach w tym mieście. Tam oglądałem hinduskiego tancerza Rama Gopala, którego ongiś do Polski sprowadził Aleksander Janta, zapamiętałem znakomity koncert filharmonii i zuchwały wyczyn, wizytę w bazie Wrenek, czyli elitarnej Pomocniczej Służby Kobiet Królewskiej Marynarki Wojennej. Do niej aspirowały wykształcone Angielki. Moja przyjaciółka Mary, stacjonowała w Liverpoolu i tam ją odwiedziłem w buzującym witalnością i dowcipem ośrodku urodziwych nastolatek.

Idylla się skończyła, gdy stchórzyłem, nie przyjmując wyzwania, by towarzyszyć Mary w dniu jej urodzin w styczniu, i przepłynąć zatokę morską, aż do widocznej na horyzoncie wyspy.

Gdy zacząłem pracować w Londynie, zaglądałem często do pobliskiego *British Museum*. Tam w czytelni widywałem Christine, świeżo upieczoną absolwentkę *Somerville College* w Oksfordzie. Studiowała po odbyciu służby wojskowej w Bletchley, jako deszyfratorka, dosłużywszy się w wieku 21 lat rangi kapitana. Przychodziła do czytelni od kilku lat i w niej poznała Jerzego Pietrkiewicza. Moje pierwsze z nim spotkanie było wcześniej, bo w 1946 roku, kiedy w mundurze starszego strzelca przyjechałem ze szkockiego obozu, by zwiedzić Muzeum Brytyjskie. Wtedy Pietrkiewicz zaprosił mnie na kawę i przeczytał mi przekłady poezji angielskiej przetłumaczone na

język polski do antologii, którą przygotowywał.

Christine po latach opisała swoje pierwsze spotkanie z Pietrkiewiczem o wiele barwniej. W czytelni zauważyła „najprzystojniejszego młodego mężczyznę, jakiego kiedykolwiek widziała, z aureolą czarnych włosów nad wpatrującymi się niebieskimi oczyma i delikatnie zadartym w górę nosem”. Młody Beethoven, bo tak go nazwała, także używał biblioteki jako swojej kancelarii. Przychodził punktualnie o dziewiątej. Czytał książki po niemiecku, angielsku, i w różnych innych językach. A Oskara Wilde’a studiował po hiszpańsku.

Po kilku miesiącach zagadnęła go, a on się ucieszył, że mógł coś wytłumaczyć. „Mężczyźni zawsze mają satysfakcję, kiedy dziewczynę mogą czegoś nauczyć”, zauważyła w autobiografii. Dowiedziała się, że miała do czynienia z polskim poetą pochodzącym ze wsi, który w Warszawie został obwołany polskim Rimbaudem. Pracował nad doktoratem. Studiował na szkockim uniwersytecie w St. Andrews.

Christine poczuła się dumna z takiej znajomości, a on opowiadał jej o poetach: Johnie Donnie, Dylanie Thomasie, Dawidzie Gascoyne, przekładał wiersze pełne aniołów, jezior, polskiego folkloru.

Zaprzyjaźnili się i wkrótce nawiązali romans. Pietrkiewicz miał

wtedy dwadzieścia dziewięć lat. Nazwała go we wspomnieniach Jankiem. Kiedy spotykali się na ulicy, szli ku sobie. On zatrzymywał się i otwierał ramiona, ona biegła do niego. Po latach zauważyła: „Nie Janek do niej. Bo taki już jest”.

Christine wnet zmiarkowała, że znalazła się w nowej, poważniejszej sytuacji, poznała miłość, którą nazwała estetyczną, i lękała się, że mogła jej zaszkodzić oziębłość, obawa jakby oboje postawili siebie na piedestale?

Kiedy przyszła dla niej oferta pracy za granicą, skłonna była zapomnieć o studiach i jechać, ale on jej to wyperswadował. Matce komunikowała, że nie wie, czy wyjdzie za Polaka bo jej tego nie proponował. Oboje byli poprzednio w związkach małżeńskich.

Pietrkiewiczowie zamieszkali przy 9 Oakley Street. Pamiętam, że odwiedziłem ich w tym skromnym mieszkaniu na Chelsea. Christine źle wspominała mało wygodny lokal. Na podłodze w różnych miejscach leżały rekwizyty jakiejś gry wojennej, której zawzięcie się oddawali. Ale nie wszystko było grą. Łapczywie chłoneła wiadomości z literatury europejskiej, a do lektury przepisanej przez uniwersytet, Pietrkiewicz dorzucał teksty swojej predylekcji: Kafkę, Hofmannsthal, ale też Gombrowicza i Choromańskiego oraz Norwida, którego później razem przekładali na angielski i opublikowali.

Te obfite lektury owocowały u niej bujnie na solidnym gruncie podkładu tekstów skandynawskich i anglosaskich. Choć we wspomnieniach przyznaje, że życie z Jankiem było edukacją, domagała się również innej, lżejszej strawy, popularnej i modnej.

Nie wszystko jednak przebiegało harmonijnie. Zdarzały się kłótnie i sprzeczki. Partner zauważył na palcu Christine pierścionek zaręczynowy z brylantem oraz obrączkę z pierwszego małżeństwa. Dla świętego spokoju Christine rzuciła pierścionek dramatycznym gestem do Tamizy.

Kiedy wzięli ślub w urzędzie stanu cywilnego w 1948 roku, Christine przełożyła obrączkę na prawą rękę zgodnie z polskim zwyczajem ku satysfakcji męża. „Bo taki już jest”, dodała po czasie kwitując zadziwiającą chłopską pazoerność ukazującą się nagle spod patyny przykładnej dyplomacji. Wspomina też o jego przesądach i religijności.

W lipcu 1954 roku odbył się nasz ślub z Zofią Poniatowską w kościele na Clapham Common w Londynie. Na Mszy św. zebrała się gromadka gości. Oprócz rodziny panny młodej, Teść był znanym piłsudczykiem, pojawiła się marszałkowa Aleksandra Piłsudska, śpiewał bas Opery Covent Garden, Marian Nowakowski, bo przyjaźniliśmy się z jego żoną, pisarz Jan Bielatowicz, przemówił na przyjęciu, poeta Józef Bujnowski osobiście wydrukował zaproszenia na ślub, stawiała się popularna

felietonistka „Dziennika Polskiego” Krystyna Cywińska. Przyszli też Jerzy i Christine Pietrkiewiczowie.

Dziś, zapoznany z zawiłościami ich sytuacji psychicznej, zastanawiam się ,jak ci ostatni odbierali mój ślub i całą ceremonię? Czy był on jakąś prowokacją, czy rodziły się u nich wątpliwości, co do solidności i bezpieczeństwa własnego związku? Czy moja publiczna demonstracja kazała wspomnieć ich nie nagłośniony związek kryjący różne sprzeczności i pułapki. Czy nie stanowił zgrzytu? Był budujący czy niepokoił? A może zapalił jakąś isierkę mającej się nie spełnić nadziei?

Pietrkiewicz przesadzał z ostrożnością, radził nie dzielić się informacjami, by nie zostały wykorzystane. Nie przyznawać się do porażek. Podejrzewał słowa, a może tylko angielskie słowa?

Rzadko mówił o miłości, napisał po polsku dla niej wiersz „The spelling of love”. Nazywał ją kotkiem, ale ona wyczuwała jakieś wykluczenie z sekretnej intymności. Religijność jego była dziwnie poetycka, nie wymieniała Boga, ale Anioły, Świętych, Matkę Boską. Natomiast niczego nie narzucał. Wyznawał taką religijność *a la Greene* i *Waugh*. Christine na wpół godziła się na chodzenie na Mszę z nim co niedzielę, choć uważała się za ateistkę.

Christine skończyła doktorat z angielskiego, a kiedy mąż zapadł

na ciężką chorobę w 1956 r., zaczęła pisać pierwszą powieść: "The Languages of Love". Przez następnych dziesięć lat współpracowała jako krytyk z najlepszymi czasopismami Londynu. Wydała też powieści „Sycamore Tree”, „The Dear Deceiver” oraz „Out”. Były to narracje satyryczno-obyczajowe.

We wspomnieniach przyznała, że istniał w ich związku milczący konflikt. Mąż będąc katolikiem żył w niezgodzie z wiarą przez te wszystkie lata. Zainicjowała więc w Rzymie przewód, by swoje poprzednie małżeństwo, zawarte w kościele anglikańskim, anulować. Przewód trwał kilkanaście lat i kosztował Christine wiele pieniędzy. „Jego wiara była prosta, głęboka i spokojna, nieobciążona sofistyką autorytetów duchownych”.



Christine Brooke-Rose (pierwsza z prawej) w mundurze WAAF, zanim poszła do Bletchley Park. fot. Harry Ransom Center, University of Texas at Austin.

Christine natomiast zawsze rzucała się w wir wydarzeń. Dziwiła się też, dlaczego mężczyźni robili tyle szumu z powodu seksu. Pamięta, że Pietrkiewicz codziennie potrzebował komplementów, choć sam nimi nie szafował. Łajał żonę, że mało czasu poświęcała toalecie. Raz w polskiej kawiarni w obecności byłej żony, Danuty, zarzucił Christine, że miała nieupudrowany nos.

Skarżyła się, że Polacy mają obsesję na tle polityki. Kiedy skrytykowali pierwsze angielskie powieści męża, radziła mu przerzucić się na inne tematy. Na przedstawieniu „Wesela”

Wyspiańskiego Christine wprowadzona już właściwie w tekst musiała wysłuchać głośnego tłumaczenia starego polskiego profesora ze wstydem i przy sarkaniu widowni. Pomyślała, że widocznie niektórzy Polacy doszli do wniosku, że Christine nie zasługiwała na swojego męża. Angielscy znajomi natomiast sądzili, że miała nieodpowiedniego partnera. Po latach zrozumiała jego męczarnie, kiedy musiał się adaptować w życiu zawodowym, pojmowała jego podejrzliwość i tolerowanie arogancji i okazywanie wyższości angielskiej, nic dziwnego, że był uprzedzony i nieraz używał słowa krytycznego „angielski” zamiast po prostu „ludzki”.

Christine знаła wiele prawd o komunizmie, których nie przyjmowali ludzie na Zachodzie. Niemniej ganiła niecierpliwość Polaków chcących natychmiastowych reakcji politycznych na komunistyczne prowokacje. Apelowała do rozsądku i cierpliwości.

Kiedy wyszła za mąż, obcięto jej stypendium, bo mąż miał odtąd być odpowiedzialny za utrzymanie żony. A on musiał zadowalać się mało płatnymi kursami i uciążliwym poprawianiem maturalnych egzaminów. Miał też długo paszport bezpaństwowca i kłopoty na granicy. Wyjeżdżając na wakacje także pisali, a wieczorami zabawiali się czytaniem napisanych rozdziałów.

Kiedyś Christine wybrała się sama do Salzburga, a kiedy po powrocie otrzymała fotografie ze zjazdu, naraziła się na podejrzenie i oskarżenie o niewierność. We wspomnieniach zapisała, że to był moment, kiedy po raz pierwszy straciła zaufanie. Mówiło się jeszcze o tym, że razem stanowili odporny czołg, ale mąż pozwalał sobie na flirty. Nie była zazdrosna. Na problemy z seksem polecił jej czytanie Kama Sutry.

Polepszenie warunków materialnych pozwoliło na kupno mieszkania w prestiżowej dzielnicy Hampstead. Pewnego Sylwestra poszli na proszone przyjęcie. Christine poczuła się źle i chciała iść do domu. Mąż flirtował i musiała wrócić sama. Następnego dnia wylądowała w szpitalu. Choroba kosztowała ją utratę nerki. Mimo to Christine stawiała się w Rzymie przed sądem św. Roty. Przyszło anulowanie małżeństwa z Rzymu. Brak dzieci ułatwiał sprawę.

Kupili samochód i nauczyli się prowadzić. Ale destrukcja małżeństwa trwała. Po swoich weekendowych eskapadach mąż pytał ją o kobiece bóle. Pomalutku niszczył jej samopoczucie i szacunek do siebie, strącając przy tej okazji i siebie z piedestału. W rezultacie nastąpiła czasowa separacja. W 1968 r. Christine wyjechała do Paryża na oferowaną posadę, „smutna lecz dumna ze swej niezależności”.

W autobiografii „In the Scales of Fate” z 1993 roku Pietrkiewicz

opowiedział o swoim życiu do 1953 roku uważając za cezurę ten rok wydania swej pierwszej powieści po angielsku. Nie wspomina pierwszego małżeństwa z Danutą Karel. Scenę poznania w czytelni *British Museum* opisuje podobnie. Christine wprowadziła go do angielskiej literatury dziecięcej „Alicji w krainie czarów” i „Misia Puchatka”. Wspominając te lata po czasie i znając ich finał, autor próbuje ostrożnej refleksji. „Miłość ma zawodny i zmienny temperament, kiedy jest się młodym, może uważamy ją za zbyt pewną”.

Ale odzywają się też inne nuty. „Popęd erotyczny zachowuje się inaczej, zwłaszcza w średnim wieku, pędzi w nieznajome, które trzeba było wcześniej zbadać”. Po chorobie musiał przejść na dietę. Okazało się, że im bardziej ascetyczna była, tym mocniej fizycznie nalegała na potrzebę Erosa. „To była moja broń na przeżycie i odnowa wiary w życie”. Szukając leku na sytuację wymienił potrzebę... pokory.

Przełom w pisarstwie Christine nastąpił już w 1962 roku w następstwie refleksji po ciężkiej i przewlekłej chorobie. Od tego czasu zaczęła eksperymentować z językiem i formami powieści. Na podparyskim uniwersytecie przyjęła posadę wykładowcy, a potem profesora angielskiej i amerykańskiej literatury i teorii literackiej. Na emeryturę przeszła w roku 1988 i osiadła w Prowansji.

Wakacje uniwersyteckie pozwoliły jej pisać. W powieści „Such”(1966) opisała doświadczenia astronoma po śmierci opowiedziane w terminologii astrofizyki. W 1984 r. wyszedł „Amalgamemnon” i trzy dalsze powieści traktujące o schyłku humanizmu, o napięciu między faktem, a wyobraźnią, o statusie kobiety wobec tradycyjnej hierarchii.

Swoimi powieściami i esejami krytycznymi zdobyła międzynarodowy rozgłos jako nowatorska pisarka postmodernistyczna. Pisała po angielsku, ale jej twórczość powiązana jest z francuskimi teoriami literackimi. Przełożyła na angielski głośną powieść Alaine’a Robbe-Grilleta „Dans le labyrinthe”. Wypracowała sobie własny styl eksperymentalnej prozy dowodząc, że w ostatecznym rozrachunku fikcja to sprawa języka i nie oddaje rzeczywistości. Stała się autorytetem. Niektórzy krytycy wymieniają ją dziś obok Wirginii Woolf i Gertrudy Stein. Jej proza stawia czytelnikowi wysokie wymagania i wprowadza gęstą aluzyjność.



Christine Brooke-Rose



Christine Brooke-Rose

Pietrkiewiczowi odpowiadało kształcenie i kształtowanie Christine, a ona terminowanie też wysoko ceniła, ale kochała człowieka, a nie Pigmaliona, dzielenie się wiedzą było dla niej jedynie dodatkiem. Bo ona również formowała i dawała z siebie szczerze latami całymi. Mnie trudno sobie wyobrazić osiem powieści Pietrkiewicza po angielsku bez Christine. Z jej odejściem przestały się już ukazywać. Ona pragnęła równości dwu szanujących siebie nawzajem partnerskich autonomii. A to okazało się niemożliwe.

Ich związek, który obojgu umożliwił wybitne osiągnięcia, nie

doczekawszy się potomstwa, zabiła w końcu nieszczęsna zazdrość, narcyzm i zaborczość.

Otrzymywane na starość telefony od Pietrkiewicza już nie potrafiły zatrzeć rozżalenia Christine, odbierała je bez entuzjazmu, nie czuła w nich żadnej zmiany, relacjonuje je z przekąsem, sarkazmem, może z jęczącym bólem.

To Eks, poeta polski, angielski profesor i europejski emigrant, telefonuje od czasu do czasu. Dlaczego? Opuszczony 35 lat temu po 22 latach niezwykłego małżeństwa roztrwonionego dla czarnowłosej dziewczyny z mozaikowymi oczami. Wszystko to sprawa menopauzy około pięćdziesiątki ubrana w nierozpoznany przedramatyzowany romans: „Chcę być ubóstwiany”, zawołał kiedyś w ekstazie zanim wyczerpała się cierpliwości żony witającej go z kolejnego romantycznego wypadu. Może znalazł to, czego szukał, medytowała zdziwiona, że nawet w późnym wieku myślał tylko o sobie.

I taki nam jego obraz zostawiła.

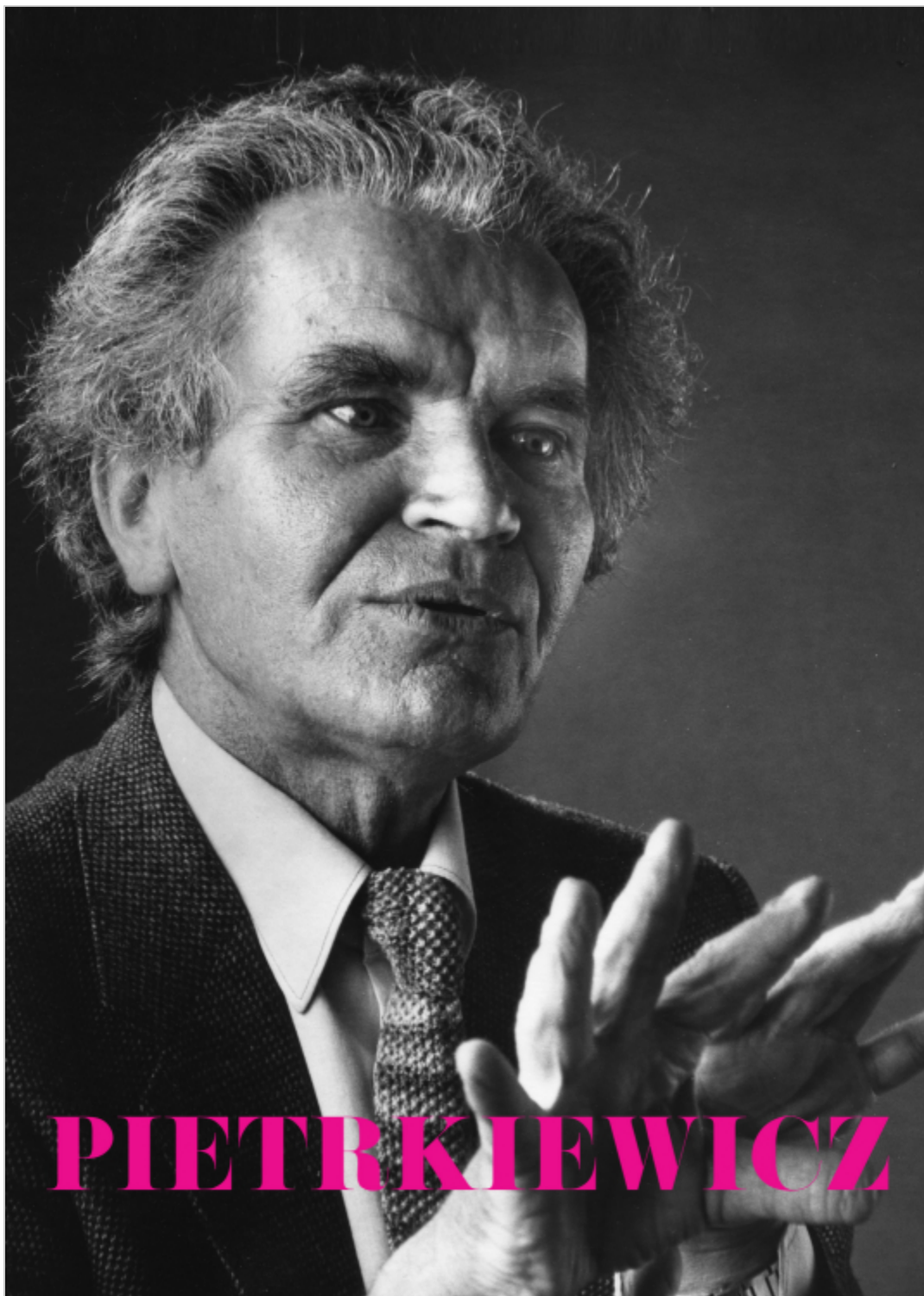
Z perspektywy lat Christine wyróżniła jednak jedną wspólną cechę, którą dzielili mimo, że już żyli samotnie, osobno, z wieloma, aczkolwiek różnymi przyjaciółmi, w nieswoich krajach, pisali w obcych językach: – oboje byli do końca suwerenni.

Jerzy Pietrkiewicz na Culture Avenue:

<http://www.cultureave.com/nestor-poetow-emigracyjnych-jerzy-pietrkiewicz/>

<http://www.cultureave.com/arriba-silesia-wspomnienie-o--jerzym-pietrkiewiczu-1916-2007/>

Refleksje z korespondencji z Jerzym Pietrkiewiczem



PIETRKIEWICZ

Jerzy Pietrkiewicz, fot. Archiwum Emigracji.

Florian Śmieja

Jerzego Pietrkiewicza poznałem w czytelni British Museum w Londynie w 1946 roku w czasie urlopu ze szkockiego obozu. Cztery lata później w latach pięćdziesiątych byłem jego asystentem w Szkole Nauk Słowiańskich Uniwersytetu Londyńskiego. Potem rozeszły się nasze drogi. Ze szczupłej naszej korespondencji zachowało się kilkanaście listów i pocztówek, kilka zaginęło po nadaniu na pocztę w Sandomierzu.

Z nastaniem komputerów komunikacja stała się łatwiejsza, tańsza i szybsza. Ale korespondencja przedtem osobista i prywatna, stała się obojętna, bezbarwna, a właściwie nietrwała i ulotna. Niewiele z niej ocaleje.

Dlatego z nostalgią oglądamy listy z dawnych lat, ze staroświeckiej ery pisania odręcznego. W zapomnianej teczce znalazłem te ocalałe listy i widokówki od Jerzego Pietrkiewicza (1916-2007), poety i pisarza, wykładowcy polonistyki na Uniwersytecie Londyńskim.

Biorę do rąk i czytam najstarsze pismo z 1954 roku. Pietrkiewicz zaczął wtedy pisać serię powieści w języku angielskim. Z listu wynika, że mój korespondent przeczytał artykuł, moją recenzję jego książki i dziękuje mi za *ujęcie rzeczy całej , która pokazuje powieść poprzez poezję i dwa pokłady językowe*. Natomiast do dalszej mojej narracji Pietrkiewicz-kokiet ustosunkował się przewrotnie.

Wspomniał Pan następną powieść (gdyby to zdanie ukazało się kilka tygodni temu, moja przesądna natura przeżyłaby kryzys). Tak, rzecz ta ukaże się na wiosnę, ale – błagam – niech Pan nikomu o tym nie opowiada, bo demony dobrzyńskie zmówią się, pokręcą korektę, zamażą okładkę, zjedzą ewentualne honoraria.

Chciałbym, żeby druk tej powieści był niespodzianką. Będzie niespodzianką i dla Drogiego Pana (niech Pan nigdy nie ufa autorom, kiedy szepczą o swych planach literackich – bo łgają (sic! FS) i zamazują ślady – tak, tak...), Czymże byłoby pisanie bez łgarstwa, prawda? – tylko prawdą, a to nie idzie w parze z fikcją. Przekazuję ten sekret w dobre ręce i niech co rozjaśniłem, zaciemnię. I ani pary z ust...

Jeszcze raz dziękuję za piękny artykuł (pochlebny dla mnie – ale próżność poetycka mile pogłaskana). To, co Pan napisał, najlepiej podsumowało to wszystko, dobrze więc, że wydrukowano właśnie teraz, z opóźnieniem.

Następnie otrzymałem jakieś wycinki z „Wiadomości” Grydzewskiego wraz z oficjalną kartką z papeterii Szkoły Nauk Słowiańskich datowaną 15.X.1964 roku.

Załączam wycinek o Szewczyku (z 1946!) - może Pan go przekazać Szewczykowi, jeżeli Pan zechce. Naturalnie, koniecznie należy o nim pisać. Porządny chłop, zawsze był i będzie. Niech Pan pomyśli, jak się sentymentalizuje Ważyka, który przecież robił nagonki na pisarzy, denuncjował, a teraz niby świętość bez skazy. Szewczyk denuncjatorem nie był. I lepszy poeta. Tak, chciałbym bardzo przeczytać coś Pańskiego o nim. Szukając owej recenzji, natrafiłem na moją odpowiedź w ankiecie z 1948 r., co jako curiosum Panu daję do teczki. W tych polskich „dark ages” jakąś tam świeczkę nosiłem . P.S. Jeśli Pan zdobył „Wiadomości”, to wycinek Szymona także dla Wilhelma Sz. Jeśli nie - naturalnie dla Pana.

Z mojego zaproszenia w 1966 roku, by Pietrkiewiczowie (oboje byli na naszym ślubie w Londynie w 1954 roku), przyjechali w odwiedziny do Nottingham, do którego się przeniósłem, nie skorzystali. Pietrkiewicz tłumaczył, że jego żona, Christine, miała akurat dużo zajęć w BBC.

Odpowiadając na niepamiętaną dzisiaj moją kwerendę kwestionującą jego określenie odpowiedział:

Wie Pan, że jednak „erotic-sonnet”- na tym polega dowcip

cytatu viz. Petrarka i damy serca. Ile tam złości i żółci. Nawet idealizujący krytycy przyznają, że „I ten wiersz wraz mi stwardniał(!) bliższe Freudowi niż Beatrice. Pogadamy przy okazji o tym i o „cobble” (realizm szczegółu, zawsze u C.K.Norwida) – tylko niech zacny Florian się pojawi na londyńskim bruku.

Otrzymałem też wtedy nadbitkę artykułu Pietrkiewicza z czasopisma „Eos” na temat tradycji schadzek o świcie. Wśród przykładów polskich, Pietrkiewicz zacytował trzy pieśni anonimowe ze Śląska Cieszyńskiego z dopiskiem „Ślązakowi śląskie anonimy polecam”.

Z upływem czasu zażyłość i przyjaźń nasza rosła. W 1996 pocztówka z Alhambrą zaczynała się

Florku-Florianie, sercu memu miły, jeśli nie miałeś dowodu na synchronicity – to teraz masz. Dzień przed Twoim listem, dotarł też list Miodka (którego cenię i bardzo lubię). Miodek napisał, że chodziliście do tej samej sztuby w Tarnowskich Górach, no i obdarzył cię, że byłeś moim uczniem. Czy zasługuję na tytuł doradcy-guru? Dość, że jak Ciebie spotkałem w British Museum, od razu wiedziałem, że coś w życiu zrobisz, stąd moje zaufanie do Ciebie, niezmiennie .A Miodek zrobił ze mną chyba najlepszy program dla TV –

rozmowę o literaturze. Także osoba budząca szacunek i zaufanie. Arriba Silesia.

Kiedy przeniosłem się do Kanady, Pietrkiewicz odwiedził mnie tam w 1977 roku, dał wykład na moim uniwersytecie i spotkał się z lokalną Polonią w London, Ontario.

Z Ottawy napisał *dzięki serdeczne za gościnność i miłą atmosferę na uniwersytecie Twoim, w domu i w Klubie. A przede wszystkim cieszę się, żeśmy pogadali po latach i że zobaczyłem Cię w gronie rodzinnym, z Zosią i dziećmi. Nakarmiony, oprany wróciłem do Montrealu. Dowcipnie dodał: Miło było zobaczyć Twoją głębę i aurę i humor zanim nie pomrzemy.*

Napisałem mu raz długi list na temat pozostawania na emigracji lub powrotu do Polski. Jerzy odpowiedział:

Twój list dał mi sporo do myślenia: ten trójkąt europejski w moim życiu. Wracać do ziemi dobrzyńskiej byłoby sztuczną decyzją. Brakuje mi ich kontekstu; sześćdziesiąt lat to dużo. Ale mówią mi i piszą jak z uporem, przez lata, przywracałem sens istotny tej tak odrębnej ziemi. Teraz krajanie moi wiedzą, że to było ważne. Chłopak osiemnastoletni napisał „Ziemia Dobrzyńska, Ziemia Dobrzyńska, a w niej chyba najwięcej ojczyzny”. Pięćsetlecie statui w Skąpem (Maria-

dziewczę) stała się okazją na spotkanie z młodzieżą od 7 do 17 lat. Ks. Jan Twardowski był ze mną, kościół tak przepełniony jak nigdy – ponad tysiąc młodych twarzy z mojej ziemi. Wzruszająco ogromnie, najlepszy prezent na 80-lecie, a od planowanych celebracji uciekałem – gdzieś do Alhambry...

I znowu zapraszał mnie do swojego domku andaluzyjskiego, którego fotografie słał z dumą. W styczniu 1998 chwalił się:

przez drzwi widać mimozę – wszystko już kwitnie – i migdałowe drzewa i aloesy, które kochał Słowacki... Jadę 25 km do restauracji przez pola trzciny cukrowej, które ongiś należały do ojca Lorki (jak wiesz, był bogaty, miał samochód i szofera).

...Jako Ci mówiłem, przyjaźniłem się z poetami śląskimi z Szewczykiem na czele. Ale ja już wolę być in statu contemplationis...

W innym liście z tegoż roku kwitował mój

co za ładna i wzruszająca niespodzianka dostać list z

życzeniami od Ciebie właśnie tutaj. Po tych latach potwierdzenie tego, co nas łączy ma szczególny sens, coś z istoty życia.

Jak to dobrze, że wszedłeś w Hispanidad wkrótce po Irlandii. Coraz szersze widnokreśli. Gdybyś tego nie zaznał, nie przeżył w sobie, byłbyś może skwaszony i zły na siebie, jak wielu emigrantów (choć to już luźny termin) jest teraz w swoim zachodzie słońca. Załączam kilka stronic ze „Sycyny”, którą redaguje Myśliwski, według mnie naprawdę oryginalny powieściopisarz w Kraju i mądry człowiek.

Pytałem Jerzego o losy jego angielskich publikacji.

Z tłumaczeniami w Polsce nie jest dobrze, bo nie potrafią znaleźć stylu dla takich książek typu „The Third Adam” czy „The Other Side of Silence”. Ktoś próbował „The Other Side” ale uląkł się biedak, choć to, co piszę, nie ma zawijasów czy innych zaciemnień semantycznych. Poczekam – czy doczekam? San Miguel sabe.

W roku 1999 na pocztówce pisał:

Drogi Florianie (ten Twój Święty był niemal spolonizowany już za Piastów) dzięki za pamięć – bo i Ty już w senioracie tych, co doczekali – a doczekanie to prezent od naszego ciała. Jeździsz, fruwasz, pływasz – un caballero viajero – geny śląskie widać mają geologię swoistą.

Dziękuj, kiedy śpiewasz: „Kiedy ranne wstają zorze”. Dziś wstały czerwone jakby buraki pękły na chmurach.

Często donosił z radością o nowych publikacjach i wspólnych znajomych.

Wyszły trzy sztuki Gombrowicza w jednym tomie dla angloyankesów z moim esejem, który nieźle się czyta po latach.

A nasz Noel Clark (który mile wspomina Twoją pomoc przy wydaniu angielskiej wersji Racławic) słusznie został odznaczony „zasłużony dla kultury polskiej” w ambasadzie, przyjaciele się zeszły. Odznaczono także siwiutkiego gołąbka Jasnowskiego, zdumiony byłem, że żyje jeszcze, chyba go pamiętasz z zamierzchłych czasów.

Kartka z fotografią uroczego zakątka andaluzyjskiego ogrodu pochodzi z 2000 roku. :

Drogi Florianie, obłapiam milenijnie i Ciebie i ród Florianowy (a Fabian, jak wiesz, dzielił obowiązki patrona Polski z Florianem, póki nie wysłał w męczeństwo św. Stanisława Bolko nazbyt śmiały)...

Należymy do tej jedynej emigracji wojennej, Ty, Floreczku, jako junak. Reszta to dodatki – płatki, co wylatują z młocki historii.

Moja dobrzyńska więź to nie przedwojenna sprawa, ale stała ciągłość autentyzmu przeżyć i wyobraźni, a dziecko (znasz moje dictum, zawsze żyje wewnątrz nas). Dlatego dzieci z moich stron witają mnie jak rówieśnika – znają moje wiersze na pamięć – te wiersze jak „Siewna”, „Ballady dobrzyńskie”. „Piątry poemat” w pomyśle pochodzą z przełomu lat wojennych. Przedwojenna „Prowincja” była jednym z głównych tekstów Autentyzmu w jego początkach. Szczęśliwy się czuję, że koła czasu tak się ładnie wokół mnie zamykają.

Pod koniec wydarzyła nam się dziwna rzecz. Otóż w 2000 roku na Uniwersytecie im. Mikołaja Kopernika w Toruniu

zorganizowano konferencję naukową: „Jerzy Pietrkiewicz – inna wersja emigracji”. Zgłosiłem swój udział, napisałem artykuł „Ten trójkąt europejski w moim życiu” i pojechałem. Pod koniec pojawił się oczekiwany bohater konferencji. Po sesji zaczął podpisywać gotową już książkę materiałów konferencyjnych. Kiedy zbliżyłem się do Jerzego, ten mnie nie poznał. Ogromnie się speszył. Napisał:

...jak gapa zmęczona, nie rozpoznałem ani Twojej twarzy, ani głosu. No ale sporo lat upłynęło od ostatniego w Londynie spotkania. Taka ekskuz, ale słaba. Rzekę tedy: Espera, siempre espera, ya pasará la noche oscura de su memoria cansada. Amen.

Potem powtórzył:

Cieszę się, że byłeś na konferencji – to wzrusza, to zbliża tyle naszych lat – Boże ty mój, jak te koła życia się kręcą-zamykają i otwierają. Dzieciaki ze szkół Ziemi Dobrzyńskiej witają mnie jakbym był sportowcem z drużyny nieprzegranego czasu.

Ucieszyło go bardzo zamieszczenie rozmowy Bolesława

Taborskiego ze mną na temat tej konferencji. *Tak, to niemal symboliczne, że jesteście (ze mną pośrednio) w ostatnim numerze „Kultury”. To także ustawia w czasie.*

Na fotografii ze swojego domu "El nido oculto" pod Granadą objaśniał:

Spójrz na tę fotografię z kołem życia: nosiłem – zwoziłem te białe kamienie (ujście podziemnej rzeki, prosto z gór).

(Na późniejszej fotografii z 2002 r. dodał *Symbol oculto* wedle nazwy domu. *Podczas pełni księżyca koło się kręci.*)

A dom zaprojektowałem razem z architektem tamtejszym, pomysły moje wprowadziłem w życie, ale powoli – tak jak wyszukiwanie mebli, antycznych drobiazgów. Jak się zjawisz kiedyś, zobaczysz...

Cieszyła go duża pokonferencyjna książka z Torunia.

Ciekaw jestem , jak odbierasz błękitną księgę. Pierwsze sześć esejów tworzy ciągłość, zgadzam się, że locum i logos to oryginalna interpretacja tekstów. No i Moczkodan dobry,

a Supruniuk zna tyle faktów. Ten, co pisze o nowelach („Umarli nie są bezbronni”) nic nie wie, że były pisane dla Światpolu (agencji dla prasy amerykańskiej) dlatego, że minister emigracyjny nie pozwolił British Council, abym dostał przyznane mi stypendium i musiałem dorabiać nowelami na zamówienie – taki los mój w pierwszym roku w St Andrews.

W książce jest sporo błędów korekty – będzie errata dla bibliotek. Ale sama rzecz: zbiór esejów i sponsorzy doceniający wagę pracy dla ziemi dobrzyńskiej, dla jej kultury – raduje serce i myśli moje, właśnie w tej fazie mojego życia.

Tak, Drogi Florku, znamy się już od tak dawna: przyjaźń otwiera pamięć, chroni ją i przesuwa w inny wymiar.

Bodaj w ostatnim liście w moim posiadaniu z 5 grudnia 2004 roku Pietrkiewicz powiada:

Dobłą drogę wybrałeś – i akademicką i rodzinną. Nie będziesz miał do siebie pretensji, a to cenne. Książkę o Kontynencikach (sic! FS) przejrzałem i napisałem dłuższy list do autorki. Co z nich zostanie? Jest angielska fraza „the body of work”, to znaczy, że przyszłość odkryje to, co choć słabe,

można ocalić. Jak miotła potraktowała Młodą Polskę, albo nieudolny u nas „futuryzm”? The „Body” na śmietnik. Warto podumać nad tym.

To Niemojowski opracował antologię – pokazał mi ją na krótko przed Odejściem. Czaykowski ją popsuł. (Na temat tej antologii pisał Pietrkiewicz także na pocztówce z 2002 r. Sądzę, że były to różne antologie).

Moje zdrowie, jak dwie szale. Ale ziemia dobrzyńska rozumie ważność tego, co zrobiłem. „Sójka” moja dalej fascynuje dzieci. Są już tacy, co znają mój bestseller na pamięć.

Pewnie gdzieś- kiedyś spotkamy się. Pozdrów całą rodzinę, to ich zdrowie daje Tobie energię.

„Carcanet Press” wydała mojego Norwida (Poems-Letters-Drawings), sto stron w ich „Poetry Pleiade” a więc Norwid dla Świata.

Jerzy Pietrkiewicz

Wybitny poeta, prozaik i tłumacz (autor m.in. świetnych przekładów poezji Karola Wojtyły na angielski), ur. 29 września 1916 r. we wsi Fabianki (Ziemia Dobrzyńska) w rodzinie chłopskiej. Ukończył gimnazjum im. Długosza we Włocławku, studiował w Warszawie, był związany z grupą pisarzy ze wsi, tzw.

autentystów, skupionych wokół „Okolicy Poetów“, współpracował z tygodnikiem „Prosto z Mostu“, który drukował w sześciu numerach jego poemat Prowincja, dokument autentyzmu – 1935.

Po wybuchu wojny przedostał się przez Rumunię i Francję do bombardowanego Londynu. Niezdolny do służby wojskowej, ukończył najstarszy szkocki uniwersytet w St. Andrews; doktorat z anglistyki uzyskał w Londynie (Kings College, 1947), przez wiele lat był profesorem literatury polskiej na Uniwersytecie Londyńskim.

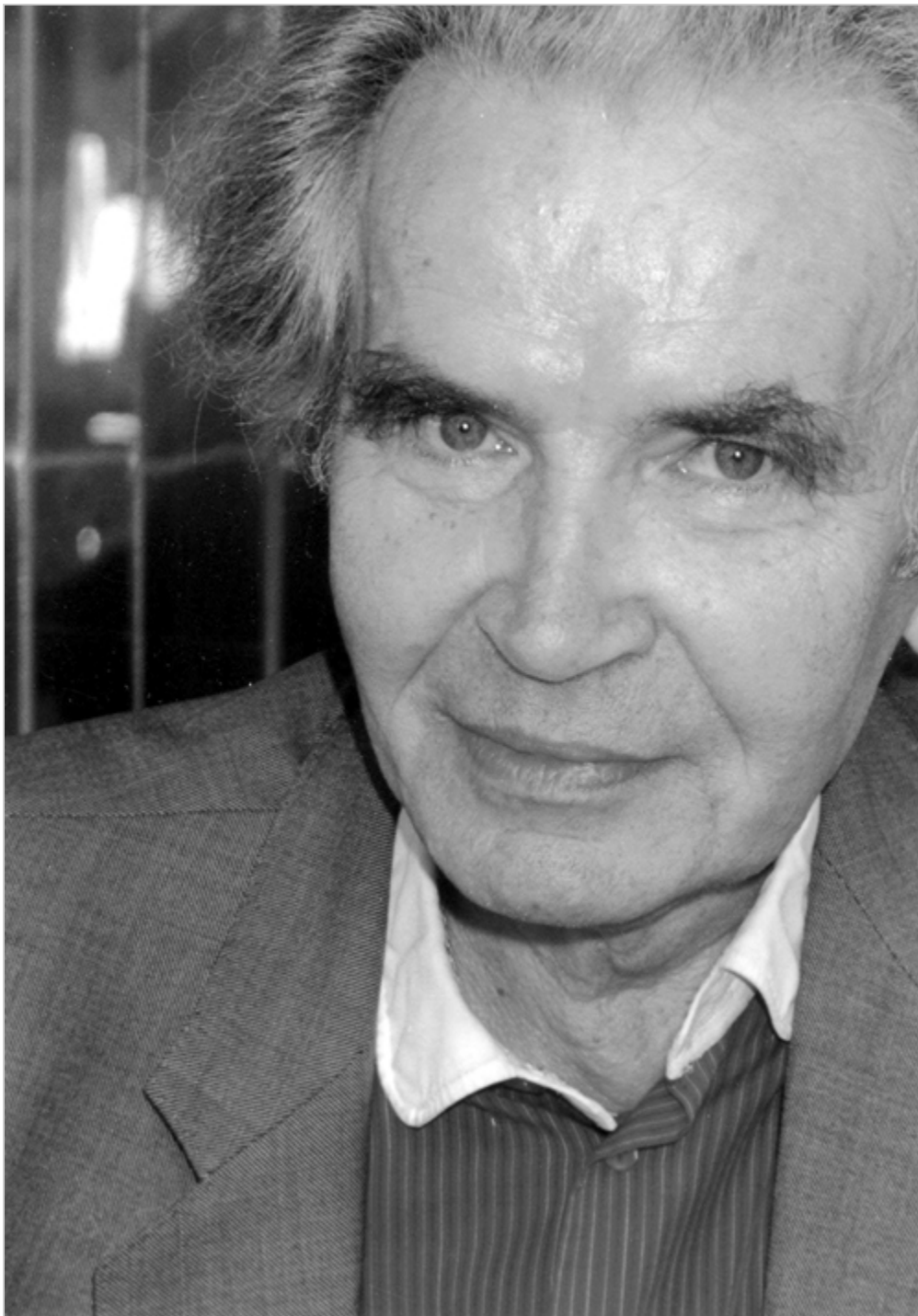
Od roku 1953 jest także autorem angielskim: jako Peterkiewicz napisał osiem powieści (m.in. *The Knotted Cord*, *Future to Let* – 1958, *Isolation*, *Inner Circle* – 1966), które spotkały się z bardzo dużym uznaniem krytyki. Opublikował dwie antologie, poezji polskiej i angielskiej, we własnym przekładzie, monografię *The Third Adam*, studium o poetach „u krańców mowy“, *The Other Side of Silence* – 1970, oraz autobiografię *In the Scales of Fate* – 1993.

Dopiero po 1980 r. zaczęły się niektóre książki Pietrkiewicza ukazywać w Polsce; przedtem był systematycznie przemilczany. Za to brytyjskie *Who's Who*, sprawdzian życiowego sukcesu, odnotowuje trzydzieści publikacji Jerzego Peterkiewicza.

Zmarł w Londynie w 2007 r.

Arriba Silesia.

Wspomnienie
o Jerzym
Pietrkiewiczu
(1916-2007).



Jerzy Pietrkiewicz

Florian Śmieja

Przed wybuchem wojny w 1939 roku wydał zaledwie trzy zbiory

poezji lecz to wystarczyło, by stał się w ciągu kilku lat bożyszczem młodzieży polskiej i głośnym poetą wsi spod znaku autentyzmu rozumianego jako dawanie świadectwa prawdzie przeszłości.

Wszelkie ówczesne plany pokrzyżowała wojna.

Po euforii młodzieńczych sukcesów literackich, Jerzy Pietrkiewicz przez Rumunię i Francję poszedł na emigrację. Znalazłszy się w Wielkiej Brytanii boleśnie odczuł nie tylko tragedię swojej ojczyzny, ale również grząskość ideologicznych pól, na które się wmanewrował. Klęska, tułactwo, zbędność w nowej sytuacji, nieprzydatność w wojsku, spowodowały jego wycofanie się w samotnictwo. Człowiek dotknięty tylu naraz niepowodzeniami, mógł być po prostu załamany, lizać rany i pogodzić się z wegetowaniem na bocznym torze.

Jednak to nagłe strącenie ze świecznika w odosobnienie dało mu dystans dla kontemplacji dramatu świata, który go nie potrzebował, umożliwił natomiast przemyślenie psychicznej sytuacji, pozwolił wyciągnąć wnioski ze stawianych prognoz. Pocieszał się myślą, że przyszłość odkryje to, co choć słabe, można ocalić a pewien był, że doceni go jego mała ojczyzna że *Ziemia Dobrzyńska rozumie wagę tego co zrobiłem.*

Oto znalazł się niespodziewanie wśród innych uchodźców w

obcym kraju w nieznanym mu społeczeństwie, postanowił więc najpierw gruntownie poznać jego język. Dostał się na studia anglistyki na jeden z czcigodnych uniwersytetów szkockich w St. Andrews nad Morzem Północnym. Tam wśród młodzieży ubranej w efektowne, czerwone togi studenckie przygotowywał się do przyszłej roli pedagoga, którą miał przez kilkadziesiąt lat pełnić w Londynie ku chwale swojej profesji i dla dobra postradanej ojczyzny. Po obronieniu doktoratu na King's College w Londynie, uzyskał lektorat języka polskiego u profesora Williama Rose'a, następcy wielkich polonistów Juliana Krzyżanowskiego i Wacława Borowego.

Po powrocie profesora Rose'a do Kanady, jego stanowisko wykładowcy literatury polskiej ofiarowano młodemu Pietrkiewiczowi. Obiął je z wielkim poczuciem wagi eksponowanej pozycji w centrum świata anglosaskiego. Był świadomy obowiązku oferowania studentom świeżego i atrakcyjnego obrazu polskiej kultury, zwalczania niedobrych stereotypów z nią kojarzonych, wykorzystania nabytych na uczelniach brytyjskich doświadczeń i metod. Odciał się od staromodnych, słabą angielszczyzną wierszowanych, ale tradycją uświęconych romantyków i śmiało sięgnął po skarby rzadko docenione wydobywając zdziwionym studentom wartości nie spodziewane. Przemyślnie dobieraną lekturę eksponował pisząc wnikliwe szkice, które po latach złożyły się na intrygujący tom pięknych prezentacji literatury polskiej. W ten sposób

wyodrębnione zostały m.in. „Treny” Kochanowskiego, jako wyjątkowej wartości wczesny pomnik poezji słowiańskiej, „Pamiętniki” Paska, poezja religijna Zbigniewa Morsztyna, „Pałuba” Irzykowskiego, „Sól ziemi” Józefa Wittlina i poezja Norwida.

Tak oryginalnie prezentowana literatura polska była chwytna i atrakcyjna. Pietrkiewicz umiał nie tylko zainteresować, ale i oczarować okazując się znakomitym nauczycielem i pośrednikiem, stał się jednym ze znaczących światła, które w neuralgicznych punktach świata potrafiły rozniecić poważne zainteresowanie polską kulturą, podobnie jak to robili Lednicki, Terlecki, a później Miłosz w Stanach Zjednoczonych. Tak jak oni, wychował zastęp ludzi gotowych nieść pochodnię, przygotował doskonałych tłumaczy. Pokazał zasadność obsadzania nielicznych placówek naukowych na Zachodzie jednostkami wyjątkowymi, które zostawią znaczący ślad swojej osobowości.

Po uzyskaniu doktoratu i zapewnieniu sobie stałego stanowiska wykładowcy na Uniwersytecie Londyńskim, Pietrkiewicz ustabilizował sobie życie zwiąawszy się z Christine Brooke Rose, wybijającą się anglistką i pisarką. Mając takie oparcie, pokusił się o przejście na język angielski. Pamiętam, kiedy wydając powieść „The Knotted Cord”, oświadczył mi, że od tego momentu stał się pisarzem angielskim. Zaczął znamieny epizod pisania powieści w języku przybranym. I tak powstało osiem

powieści, częściowo eksperymentalnych, w języku angielskim. Pierwsza „The Knotted Cord” wiele zawdzięczała jego wojennej powieści „Po chłopsku”.

Na ogół dobrze przyjęte przez krytykę angielską, która pochwaliła język jako poetycki, może nieco wydumany, dostrzegła humor i techniczną subtelność. Niektórzy Polacy obrażali się, że ich wyśmiał w „The Future to Let”. Pochlebnie porównywany do Conrada autor realizował swoje marzenie, by mieć czytelnika, w tym wypadku, brytyjskiego. Zwierzał się, że lubił chodzić do czytelni publicznych i zaglądać do swoich książek, by czytać komentarze, które niektórzy czytelnicy pisali na marginesach książki. Wierzę, że była to pomocna korektura uczonych wywodów krytyków, z którymi Pietrkiewicz dyskutował w radiu i literackich żurnalach.

Chociaż stosunki Pietrkiewicza z władzami emigracyjnymi nie zawsze układały się pomyślnie, mimo, że atakował on je w swoich wypowiedziach, czuł potrzebę odwzajemniania niechęci, to po upływie czasu potrafił docenić walory duchowe swych niegdysiejszych adwersarzy i krytyków.

W czasie wieczoru autorskiego na naukowej konferencji w Toruniu w roku 2000 powiedział m.in.:

Ja wyróżniam w ciele emigracji emigrację wojenną, ta stworzyła instytucje, owe instytucje dalej istnieją. Owszem, były kłótnie, bo Polacy się zawsze kłócą - napisałem satyryczną powieść o tym, ale ona potwierdza coś niebywałego w tych ludziach. Że kiedy mają opuścić tę ziemię, nie odchodzą jako niewolnicy. Nie są przegrani, oni wygrali. I to jest bardzo ważne. Reszta emigracji jest przypadkowa, zarobkowa i inna, co nie znaczy, że ja jestem przeciwko niej, niech ona będzie! Ale nie łączmy tych dwóch rodzajów emigracji, granica podziału jest bardzo wyraźna. Emigracja wojenna wiedziała czego chce.

Jeden z nowatorskich poetów polskich Pietrkiewicz jest również autorem frapującej opowieści o polskich mariawitach „The Third Adam”, wydanej przez Oxford University Press oraz odkrywczych, krytycznych esejów literackich „The Other Side of Silence”. Okazał się też doskonałym tłumaczem poezji Jana Pawła II na język angielski.

*

Poznałem Pietrkiewicza w 1946 roku w londyńskim British Museum. W latach pięćdziesiątych byłem jego asystentem w School of Slavonic and East Europea Studies. Potem pozostaliśmy w sporadycznym kontakcie korespondencyjnym do

końca.

Kiedyś na widokówce z Hampstead Pietrkiewicz napisał:

Florianie Drogi, jakie to miłe, że napisałeś ze Śląska...Widzisz, te powroty do źródeł są ważne, bardziej sprawdzalne w psychice, niż freudojungowe rebusy wedle mody (moda mija).

Przed wojną odwiedził Katowice, gdzie poznał śląskich pisarzy z Wilhelmem Szewczykiem na czele. Jeszcze w Londynie w 1964 roku otrzymałem od Pietrkiewicza przesyłkę z adnotacją *załączam wycinek o Szewczyku (z 1946) - może Pan go przekazać Szewczykowi jeśli Pan zechce*. Na wieść, że chcę pisać o Szewczyku, replikował:

Naturalnie, koniecznie należy o nim pisać. Porządny chłop, zawsze był i będzie. Niech Pan pomyśli, jak się sentymentalizuje Ważyka, który przecież robił nagonki na pisarzy, denuncjował a teraz niby świętość bez skazy. Szewczyk denuncjatorem nie był. I lepszy poeta.

Ślązakowi śląskie anonimy polecam nakreślił na nadbitce z

czasopisma „Eos” z zacytowanymi pieśniami ze Śląska Cieszyńskiego.

W 1996 roku jego pocztówka donosiła:

Dzień przed Twoim listem, dostałem też list Miodka (którego cenię i bardzo lubię). Miodek napisał że chodziliście do tej samej szkoły w Tarnowskich |Górach. Dość, że jak Ciebie spotkałem w British Museum, to od razu wiedziałem, że coś w życiu zrobisz. Stąd moje zaufanie do Ciebie niezmiennie. Arriba Silesia.

Napisałem mu raz długi list na temat pozostawania na emigracji lub powrotu do Polski. Jerzy odpowiedział:

Twój list dał mi sporo do myślenia: ten trójkąt europejski w moim życiu. Wrócić do ziemi dobrzyńskiej byłoby sztuczną decyzją. Brakuje mi ich kontekstu; sześćdziesiąt lat to dużo. Ale mówią mi i piszą jak z uporem przez lata, przywracałem sens istotny tej tak odrębnej ziemi. Teraz krajanie moi wiedzą, że to było ważne. Chłopak osiemnastoletni napisał „Ziemia Dobrzyńska, Ziemia Dobrzyńska, a w niej chyba najwięcej ojczyzny, Pięćsetlecie statui w Skąpem (Maria-dziewczę) stała się okazją na spotkanie z młodzieżą od 7 do

17 lat. Ks. Jan Twardowski był ze mną, kościół był przepełniony jak nigdy – ponad tysiąc młodych twarzy z mojej ziemi. Wzruszająco ogromnie, najlepszy prezent na 80 lecie...

Moja dobrzyńska więź to nie przedwojenna sprawa, ale stała ciągłość autentyzmu przeżyć i wyobraźni, a dziecko (znasz moje dictum, zawsze żyje wewnątrz nas). Dlatego dzieci z moich stron witają mnie jak rówieśnika – znają moje wiersze na pamięć – te wiersze jak „Siewna”, „Ballady dobrzyńskie”, „Piąty poemat” w pomyśle pochodzą z przełomu lat wojennych. Przedwojenna „Prowincja” była jednym z głównych tekstów Autentyzmu w jego początkach. Szczęśliwy się czuję, że koła czasu tak ładnie się wokół mnie zamykają.

Ze wspomnieniami o Pietrkiewiczu uczestniczyłem w konferencji w Toruniu. Napisał:

Cieszę się, że byłeś na konferencji- to wzrusza, to zbliża tyle naszych lat. Boże ty mój, jak te koła życia się kręcą-zamykają i otwierają.

Ucieszyło go bardzo zamieszczenie przez Giedroycia w

pożegnalnym numerze rozmowy Bolesława Taborskiego ze mną na temat tej konferencji.

Tak, to niemal symboliczne, że jesteście (ze mną pośrednio) w ostatnim numerze „Kultury”. To także ustawia w czasie.

*

Urodzony w Fabiankach na Kujawach w 1916 roku, zmarł w Londynie w 2007 roku. Spośród nagród i odznaczeń najbardziej, sądzę, cenił sobie doktorat honorowy swojej szkockiej uczelni.

Druga strona milczenia

Jerzy Pietrkiewicz



Jerzy Pietrkiewicz, fot. Arch.
Emigracji.

Rozdział III

Dojrzała poeci wobec czynu

(fragment)

1.

Byłoby naiwnością sugerować, że dotrwanie poety do wieku dojrzałego oznacza koniecznie przetrwanie w nim doskonałego artysty. Ogólnie rzecz biorąc, poeci drugorzędni mają więcej szans na dostosowanie swoich zdolności do nowych warunków tworzenia, które wymagają mniej czarodziejskich zaklęć, a więcej umiejętności warsztatowych. Nie ulegają łatwo pokusie popadania w zadumę i służenia ideałom. Oczekują zapłaty za swój trud w postaci wyboru do jakiejś literackiej akademii albo nagrody literackiej z okazji jubileuszu dwudziestopięciolecia lub pięćdziesięciolecia twórczości poetyckiej.

Istnieje jednak inna, bardziej interesująca droga, którą może pójść dojrzały poeta. Pokusy, jakim musi stawić czoło, odwodzą go od uprawiania sztuki, a najsilniejszą z nich jest oddanie się na służbę jakiejś wielkiej sprawie. Wtedy poeta ma już wystarczająco dużo doświadczenia, jest też na tyle ostrożny, aby nie nadużywać swego pióra, a swoją niewiarę we wszelkie retoryczne deklaracje oprzeć na czasowym odrzuceniu poetyckich zaklęć. Jednocześnie jego reputacja dostarcza mu wiarygodnej wymówki do tego, by zaprzestać pisania. Oddaje się on wówczas aktywnej służbie. Gdyby jacyś ludzie zaczęli spoglądać na niego jak na umarłego poetę, nie poczułby się obrażony. Określenie „poeta, który padł w boju”, nawet w ujęciu metaforycznym, wydaje się mu całkiem do przyjęcia.

Dziewiętnastowiecznym poetą walki, człowiekiem, który zamienił

płaszcz romantycznego podróżnika na żołnierski mundur, był Byron. Nie miało znaczenia to, że nie zginął w boju; do heroicznego mitu przeszła już sama nazwa greckiego miasteczka Missolongi, w którym zabiła go gorączka reumatyczna. Tym, co się liczyło, były jego szlachetne intencje. Wielu jego wielbicieli spoza Anglii znało tylko nieliczne szczegóły, dotyczące okoliczności jego śmierci; w ich oczach była to śmierć bohatera. Bo też gest Byrona w niczym nie przypominał postawy, jaką przyjęło wielu poetów-dziennikarzy, propagandystów „słusznej sprawy”, nadsyłających w okresie hiszpańskiej wojny domowej sprawozdania z linii frontu. Najbliższym odpowiednikiem losu Byrona w tym stuleciu (tj. w XX w. – przyp. tłum.) byłaby śmierć Ruperta Brooke’a w drodze na Dardanele: pogrzeb tego poety na Skyros, wyspie Achillesa, otoczył mityczną aurą jego wojenne sonety.

Dnia 22 stycznia 1824 roku, w swoje trzydzieste szóste urodziny, Byron napisał ostatni znaczący wiersz, będący psychologicznym kluczem do zrozumienia jego aktywnego życia. W nastroju niewątpliwej szczerości pyta w nim o słuszość swych pasji. Każda ze strof mówi o emocjonalnym wyczerpaniu poety, które jednakże nie wydaje się być zwykłym, romantycznym rozmarzeniem. Przeciwnie, uderza czytelnika jako próba dokładnego opisu następujących po sobie stanów ducha poety w sytuacji, gdy w nagłym olśnieniu pojmuje on znaczenie kolejnych wyborów. (...)

Pragnienie śmierci sięgnęło tu szczytu, ale tym razem owa „na polu walki... śmierć chwalebna” oznacza zarówno zrozumienie znaczenia historycznej chwili, jak i bardzo osobiste poczucie obowiązku. Grecja jest dla Byrona czymś więcej niż tylko sprawą, za którą poeta walczy, tak jak jego poczucie obowiązku wykracza poza granice jego osobistych wyborów. Wie, że nie istnieje nic, co zdołałoby precyzyjnie określić jego wygasłe namiętności. „Robactwo, rak i cierpień moce – to mnie ogarnie!” Nie ma żadnej retoryki w tym stwierdzeniu kończącym drugą strofę. W szóstej („chwała i Grecja”) i w siódmej („Zbudź się, mój duchu!”) Byron wraca do techniki magicznych zaklęć; jest to pozbawiony szczerego entuzjazmu skok ku ekstazie, nieprzekonywający w każdym z użytych tu wykrzykników. Rzeczywista walka nie potrzebuje ostróg w postaci słów, musi stać się faktem godnym upamiętnienia, i Byron dobrze o tym wie.

Ponieważ czynne działanie oznacza wyjście poza poezję, choćby było to tylko chwilowe narażenie się na niebezpieczeństwo, odciąga ono Byrona od retorycznych rozważań o śmierci i stawia go w obliczu chwalebnej rzeczywistości jego własnego końca. Można więc spojrzeć na „żołnierski grób”, za którym goni, jako na oczywistą konsekwencję prowadzonej przez niego walki, a także jako na sąd potępiający *in absentia* całą poezję. Zwrot „w żołnierskim tylko grobie szukaj posłania” jest wciąż retorycznym tylko żądaniem przy końcu wiersza; rzeczywisty wybór przyszedł o wiele wcześniej, wraz ze zrozumieniem dwoistego sensu

historii i obowiązku, z uświadomieniem sobie, że ta pierwsza nie urzeczywistni się bez tego drugiego.

A jednak to grecki epizod ostatecznie uchronił poezję Byrona od wrogiego krytycyzmu i nieprzychylnego grzebania w życiorysie poety. Bez względu na to, jak często krytycy przypisywali nieszczerść pisarstwu Byrona, jego śmierć w Missolongi uwolniła przynajmniej niektóre poematy od uwłaczających oskarżeń. Uratował on swe poetyckie oblicze w oczach tych, którzy nie umieją oddzielić biografii pisarza od jego twórczości. Ten pozytywny wyłom pozwolił na poszukiwanie Byrona-poety także w innych jego dziełach. Przedmiotem pochwał są dziś jego „Vision of Judgement” i „Beppo”, a wirtuozeria „Dona Juana”, zawsze zresztą doceniana, przypisywana jest, niezależnie od warsztatowej zręczności, poetyckiej wyobraźni autora. (...)

Kuszące byłoby przeanalizowanie, czy w ostatecznym rozrachunku istnieje takie zjawisko, jak poetyka walki, rzucająca tak budujący blask na poetykę słów, że wcześniej napisane dzieła, nie mające z tą walką żadnego związku, zdają się odbijać ją mimo wszystko, zyskując w ten sposób na swoim znaczeniu. W jakim stopniu instynkt poety, podpowiadający mu zaangażowanie się w godnej upamiętnienia walce, bierze w istocie w obronę jego zagrożone dzieła, które mogą zostać zignorowane przez przyszłe pokolenia?

Jeśli Byron odczuwał potrzebę stworzenia heroicznego mitu własnej osoby, musiał też zdawać sobie sprawę ze słabości swej sztuki.

2.

Postanowienie Adama Mickiewicza, aby stać się człowiekiem czynu, przypominało decyzję Byrona. Podobnie nieoczekiwany był jego skutek. Mickiewicz zmarł w roku 1855 w Konstantynopolu na cholere, a nie od rosyjskiej kuli. W czasie wojny krymskiej zaczęto formować polski legion i Mickiewicz udał się do Turcji, aby pomóc w jego organizowaniu i wypróbować samego siebie w bezpośredniej, patriotycznej akcji. Tego pięćdziesięciosiedmioletniego wówczas, przedwcześnie postarzałego człowieka, można by określić bez żadnej niechęci jako umarłego poetę, który od dwudziestu lat nie napisał dosłownie nic. Był w tym okresie wykładowcą, najpierw w szwajcarskiej akademii w Lozannie, potem w College de France. Wydawał też w języku francuskim tygodnik („La Tribune des Peuples”), a wreszcie został bibliotekarzem, która to posada była skromną synekurą. Mimo iż decyzja udania się do Turcji wynikała z jego politycznej działalności, osoby wspierające jego misję (takie jak książę Czartoryski czy Zamoyski) nadal widzieli w nim narodowego barda, być może niewygodnego pod pewnymi względami, pod innymi jednak jak najbardziej użytecznego dla propagowania sprawy polskiej. Liczyło się jego nazwisko.

Bez swych poetyckich osiągnięć w przeszłości Mickiewicz byłby mało wartościowym nabytkiem dla sprawy. One właśnie dały mu duchową legitymację do podjęcia czynnych działań. I podobnie jak Byron, którego podziwiał i tłumaczył, odczuwał potrzebę dostosowania świata swej wyobraźni do wymiarów praktycznego działania. O ile można sądzić na podstawie dokumentów, nie dorównywał Byronowi pod względem zdolności organizacyjnych. Także jego osobisty magnetyzm nie pozwoliłby mu na odniesienie sukcesów przywódczych, jakie stały się udziałem angielskiego poety. Miał jednak pewne doświadczenie w prowadzeniu zakulisowej polityki w okresie rewolucyjnego zamętu roku 1848. Dowodził legionem polskim we Włoszech, na rzecz którego agitował nader skutecznie, ale jednostka ta, pod względem liczebności, była bardzo skromnym przedsięwzięciem. W istocie, nawet wspomnienia sympatyzujących ze sprawą świadków nie były w stanie ukryć rozczarowania na widok maszerujących legionistów. Niejaki G.A. Cesano zanotował, jak to pierwszego maja 1848 roku koło Porta Romana w Mediolanie zgromadził się tłum, aby uczcić polskich żołnierzy. Zamiast legionu ujrzano postarzałego człowieka, za którym szło jedenastu ludzi, w tym jeden garbus. Wzruszającym dowódcą krocącym na czele był oczywiście Mickiewicz. Jeśli przemarsz ten ilustrował pogardę poety dla rzeczywistych faktów, które inni ludzie mogli zmierzyć własnymi oczami, to wyzwanie to nie miało dość siły, aby przydać romantycznej otoczki późniejszym wspomnieniom, kiedy doszło do ich spisывania.

W jakim stopniu Mickiewicz zapamiętał ironiczną lekcję 1848 roku? Czy postanawiając udać się do Turcji rzucał wyzwanie samemu sobie?

O wiele ważniejszym przy ustalaniu motywów, jakimi się kierował, wydaje się być powracający w jego utworach motyw dynamicznego działania, stawiający zawsze głównych bohaterów w jakiejś kłopotliwej moralnie sytuacji, czy będzie nią patriotyczna zemsta poprzez zdradę, jak w „Konradzie Wallenrodzie”, czy ukrycie się pod zakonnym habitem przez człowieka, pragnącego okupić patriotycznym czynem dawną winę, jak w „Panu Tadeuszu”. Bohater musi przejść całkowitą transformację, poczynawszy od przyjęcia nowego imienia i nowych szat. W każdym jednak przypadku transformacja ta nie może dojść do skutku bez bezpośredniego udziału w jakiejś akcji. Zły uczynek, jakkolwiek okupiony przez poświęcenie, musi zostać w końcu zrównoważony skalą podjętego działania. Na przykład, Jacek Soplica w „Panu Tadeuszu” nosi habit mnicha i żyje w ubóstwie, ostatecznie jednak stawia czoło, jak na początku, niebezpieczeństwom prawdziwej bitwy.

Kiedy natomiast, jak w dramacie „Dziady”, *alter ego* autora otrzymuje jednoznaczne upostaciowanie, bohater okazuje się być poetą i znowu otrzymuje imię Konrad. Wypróbowuje potęgę swego słowa rzucając w nadprzyrodzonej sferze ducha wyzwanie Bogu, będąc w świecie rzeczywistej walki więźniem oczekującym

zesłania. Bezczytność narzucona tu człowiekowi czynu ma z pewnością znaczenie symbolu.

Można się zastanawiać nad tym, czy Mickiewicz doprowadziłby przenikniętą poetyckim duchem osobę Konrada do końca dramatu. Czy oddzieliłby całkowicie od poezji, to znaczy od iluzorycznej potęgi słowa, finałową scenę odkupienia? Wskazuje na to jeden fakt: dramat jest niedokończonym dziełem nie dlatego, że tak został pomyślany, zgodnie z romantyczną modą na pozostawianie arcydzieł jako monumentalnych rumowisk. Mickiewicz pragnął, aby „Dziady” były jego głównym dziełem, faustowskim wyrażeniem jego własnego życia. Cenił je wyżej od wszystkich innych swoich utworów. Nawet w okresie jałowych lat po napisaniu „Pana Tadeusza” wracał do „Dziadów”, uzupełniając je scenami, które potem zniszczył. Dramat był najwyraźniej pomyślany jako integralna całość, i to mimo pozornej przypadkowości numeracji poszczególnych części i fragmentów. Pragnął go dokończyć, ponieważ był on tak jednolity pod względem duchowej koncepcji, i świadomość, że jego wyobraźnia odwróciła się od tego dzieła, musiała być dla poety źródłem rozpacz.

Pozostaje jednak znaczącym faktem, że pozostawił „Dziady” niedokończone, i bez względu na to, jakie powody można przypisać temu niepowodzeniu, pozostaje ono w związku z decyzją podjęcia czynnej walki, która, być może nieświadomie,

była jednoznaczna z wybraniem śmierci przez poetę od dawna już umarłego. Jeden z jego późnych liryków, napisany w Lozannie, rozpoczyna się od słów: „Gdy tu mój trup w pośrodku was zasiada”. Nie jest to makabryczny początek romantycznej ballady, ale osobiste wyznanie. (...)

3.

Poetą, który w nowszych czasach zdał sobie w pełni sprawę z ograniczeń, jakie poezja liryczna narzuca czynnemu działaniu i na odwrót, był Yeats. Bez reszty angażował się on w walkę o narodową kulturę i niezależność polityczną Irlandii. Z powodzeniem walczył o stworzenie irlandzkiego teatru. Podziwiał politycznych aktywistów Johna O`Leary i Maude Gonne, identyfikował się też z buntami wielkanocnymi 1916 roku. Jeśli marzycielski bard także ma wziąć na siebie odpowiedzialność, to tytuł „Responsibilities” jest dla Yeatsa bardzo znamieny. Ale kryzys, który dotknął go w wieku dojrzałym, dotyczył poetyckiego stylu. Yeats żył jednak wystarczająco długo, aby spojrzeć trzeźwo na swoje poprzednie rozczarowania. Bo mimo wszystko historia dogoniła jego marzenia. Niedługo po tym, gdy zawołał z poirytowaniem: „Moje marzenia wyczerpały się” ⁴/, Irlandia zdobyła status wolnego państwa, a on sam został w tym samym 1922 roku senatorem.

Gdy tu wróciłem – pisał w styczniu 1923 roku do Roberta Bridgesa – okazało się, że mam zasiadać w Senacie, który wprawdzie nie łamie porządku moich poranków, kiedy piszę wiersze i tym podobne rzeczy, ale zabrał mi sporą liczbę popołudniowych godzin, w których piszę listy.

Od czasu do czasu zabierał głos na posiedzeniach Senatu. W roku 1926 zgodził się przyjąć funkcję przewodniczącego komisji, która miała służyć doradztwem w sprawie nowych monet dla irlandzkiego państwa. Odrzucił jednak stanowiska w służbie publicznej, nie bacząc na ich ważność. Czynne działanie przestało być dla niego alternatywą dla pisania. Nie mogło zresztą kusić go zbytnio w sytuacji, gdy zostało zredukowane do poziomu bieżących, codziennych spraw. Wtedy właśnie rzemiosło barda zażądało od swego dawnego adepta skorygowanego rachunku. Wydaje mi się przy tym rzeczą nieistotną, czy Yeats podjął to odmładzające przeobrażenie, żeby oszukać swój wiek, czy też samą poezję. Na nowo wszakże uświadomił sobie dylemat, przed jakim stoi artysta, wyrażony przez niego jeszcze w roku 1910. (...)

Jeśli od bezpośredniego udziału w codziennym życiu, rozumianego zarówno jako wewnętrzna potrzeba, jak i swego rodzaju służba, ważniejsze okazuje się przyzwyczajenie poety do mozolnego trudu składania wierszy, to pokusa aktywnego

udziału w jakiejś misji zostaje zredukowana do pozornego tylko obowiązku i przestaje być nagłym nakazem.

W tym świetle powinno się, jak myślę, lepiej rozumieć kryzys zaangażowania, jaki objawił się w okresie powojennym. Poeci dojrzeli naraz, jeden po drugim, prawdziwe mechanizmy powstawania różnych ideologii, w większości błędnych i dlatego skazanych na upadek. I jeśli poeta działał kiedyś, jako naiwny wyznawca, zastraszony neofita albo płatny propagator, taka działalność mogła napełnić go tylko obrzydzeniem. W całej wschodniej Europie po śmierci Stalina ci, którzy byli piszącymi aktywistami, wyrzucili z siebie całą swoją odrazę do słów jeszcze większą lawiną słów. A sztuka pisania wierszy, nawet gdy brakło jej natchnienia, wydała się znowu godna szacunku. Nie istniała już groźba jakiejś wzniosłej, mglistej alternatywy: komplet narzędzi czekał, żeby je chwycić do ręki.

4.

Rozważania z poprzednich stronic mogą dać wrażenie, że dojrzały poeta skazany jest na rozczarowanie czynnym działaniem zawsze wtedy, gdy służy mu ono jako potencjalne lekarstwo na twórcze udręki. Nie odbiera to jednak wartości doświadczeniom, zdobytym w trakcie jego uprawiania, choć mogą one dostarczyć jedynie dowodu na iluzoryczność poezji. Doświadczenie jest niewątpliwym zyskiem. To, czy jest ono w

stanie uodpornić poetę, nie jest już takie pewne.

Bo zamiast posłużyć jako środek na „wyleczenie” z poezji, może zakiełkować nową poetycką gorączką. Obok rozczarowanego czynną działalnością Yeatsa staje nowy Yeats, poeta pełen namiętności i gniewu, przemawiający głosem nawiedzonego. Nie zamierzam tu kwestionować tego rodzaju doświadczenia. Nie próbuję też dyskwalifikować poety, a zarazem czynnego działacza, za brak konsekwencji. Chcę tylko podkreślić wagę samego doświadczenia, które, jakkolwiek może być czynnikiem odradzającym, nie odsłania innego oblicza poezji. Ignoruje ono potrzebę zachowania milczenia, tak jak młodość ignorowała potrzebę posiadania doświadczenia.

Po czym możemy poznać poetę, który jest o krok od wejścia na niewidzialną ścieżkę, prowadzącą ku krainie milczenia? Wydaje się on człowiekiem doskonale przystosowanym do życia w społeczeństwie, osiągnął pełnię męskich lat, ma za sobą sukcesy. Mimo wszystko zaprzeczy on jednak zarówno swym artystycznym, jak i społecznym osiągnięciom, kierując się ku tamtej stronie. Tym, co naznacza go w sposób wyraźny, jest jego rozczerowanie zdobytymi doświadczeniami.

Jerzy Pietrkiewicz: Druga strona milczenia, Oficyna Wydawnicza „Agawa”, Studium o poezji polskiej i europejskiej XIX i XX w., przełożył: Jan Jackowicz.